

Stanisław Jagusz

Czterdziestolecie masowych aresztowań i zsyłki adwokatów warszawskich do obozu zagłady w Oświęcimiu

Palestra 25/7-9(283-285), 83-92

1981

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Czterdziestolecie masowych aresztowań i zsyłki adwokatów warszawskich do obozu zagłady w Oświęcimiu

(Wspomnienia uczestnika tych wydarzeń)

W numerze 3 „Palestry” z roku 1975 oraz w numerze 2 z roku 1976 ukazały się artykuły adwokatów Jana Gadomskiego i Zdzisława Krzemińskiego na temat sytuacji adwokatury polskiej w okresie okupacji hitlerowskiej. Cenne są te głosy dla uczczenia patriotycznej postawy ówczesnych adwokatów. Atoli zauważyłem w wypowiedziach obu autorów wiele przykrych przemilczeń i niedomówień, zwłaszcza w sprawie powodów aresztowania adwokatów warszawskich i wysłania ich do obozu zagłady w Oświęcimiu. Tak więc adwokat Krzemiński w swym artykule pt. „Adwokatura polska w okresie okupacji hitlerowskiej” doszukał się zaledwie „czternastu sprawiedliwych” wśród adwokatów warszawskich, „którzy wykazali niezwykle hart ducha i odwagę” przez wypowiedzenie się — jako członkowie tak zwanego *Beiratu* — przeciwko skreśleniu przez władze hitlerowskie z listy adwokatów osób pochodzenia żydowskiego. Adwokat Gadomski, wspominając o swoim pobycie na Pawiaku w związku z zarzutami natury prywatnej, pisał: „W tydzień czy parę tygodni po znalezieniu się w więzieniu ujrzeliśmy przez okno odbywającą spacer więzienny większą grupę kolegów adwokatów. Dowiedzieliśmy się zaraz, że wszyscy oni, a było ich około 70. zostali uwięzieni bez żadnego związku z jakimikolwiek konkretnymi zarzutami, a tylko w wyniku akcji zastraszającej skierowanej wyraźnie przeciwko adwokaturze.”

Myszę, że będzie rzeczą pożyteczną wypełnić poważne luki, jakie się zakradły do wypowiedzi obu cytowanych wyżej autorów. Będzie to jednocześnie skromny przyczynek z mojej strony dla uczczenia pamięci kilkudziesięciu pomordowanych w obozie adwokatów warszawskich, moich przyjaciół i kolegów obozowych.

Do dnia 7 września 1939 r. pracowałem jako sędzia Sądu Okręgowego w Warszawie. Zrezygnowałem jednak z zatrudnienia w sądownictwie podczas okupacji. Aby uzyskać kartę pracy, postanowiłem wstąpić do adwokatury.

W ruchu ludowym, z którym związany byłem od najmłodszych lat, toczyły się już wówczas ożywione narady, pod przewodnictwem b. marszałka Sejmu Macieja Rataja, w celu zmontowania zrębów organizacyjnych tego ruchu w konspiracji. Nie ustawały te narady także po pierwszym aresztowaniu tego wybitnego przywódcy ludowego w listopadzie 1939 r. Po zwolnieniu go z więzienia w początkach 1940 r. powstał z jego inspiracji kierowniczy organ ruchu ludowego w składzie trzech osób. Na zebraniu konspiracyjnym wybitnych działaczy ludowych z całej Polski powołano również do życia komisję programową w składzie pięciu osób. Jako jednemu z jej członków powierzono mi referat spraw zagranicznych.

Już na pierwszym posiedzeniu tej komisji wygłosiłem przemówienie o celach Polski po wojnie. Jednogłośnie przyjęto moje wnioski o przyszłej granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej.

Krzątałem się też, żeby zebrać niezbędne dokumenty w celu dołączenia do podania o przyjęcie mnie do adwokatury. Okazało się wkrótce po kampanii wrześniowej, że nie jest dobrze z polską adwokaturą.

Po ustanowieniu 26 października 1939 r. przez władze hitlerowskie Generalnej Guberni pod przewodnictwem sławetnego Hansa Franka, nastąpiły radykalne zmiany w dziedzinie samorządu adwokackiego. Frank zdawał sobie sprawę z tego, że adwokatura polska może się stać ośrodkiem ożywionej działalności antyhitlerowskiej. Toteż w połowie grudnia 1939 r. rozwiązano Naczelną Radę Adwokacką. Krótki był też żywot Okręgowej Rady Adwokackiej w Warszawie. Na mocy zarządzenia Wydziału Sprawiedliwości gubernatora Dystryktu Warszawskiego została ona rozwiązana, a na stanowisko komisarza do spraw reorganizacji adwokatury został wyznaczony były adwokat warszawski, z pochodzenia Niemiec, von Wendorff. Funkcję szefa Wydziału Sprawiedliwości w urzędzie gubernatora piastował wszechwładny dr Gollert. On to właśnie prześwietlał pod względem politycznej prawomyślności kandydatów ubiegających się o dopuszczenie do wykonywania zawodu adwokackiego, badał, czy nie są obciążeni grzechem wrogiego nastawienia do hitlerowskich Niemiec. Jestem przekonany, że to dr Gollert przygotował materiały dla gestapo w celu pozbawienia wolności i zsyłki do obozu zagłady w Oświęcimiu kilkudziesięciu patriotycznie myślących polskich adwokatów.

Dla przyobleczenia bezprawnych zarządzeń w szaty rzekomego „samorządu” adwokackiego powołano do życia ciało doradcze przy komisarzu, zwane *Beiratem*.

Po bezprawnym skreśleniu z listy adwokatów osób pochodzenia żydowskiego, komisarz Wendorff, działając w porozumieniu z dr Gollertem, zażądał opinii *Beiratu* w tej sprawie. A oto co pisze adw. Jan Gadomski w artykule zamieszczonym w „Palestrze” na ten temat: „Komisarz Wendorff nie przybył na posiedzenie, lecz zlecił przewodnictwo jednemu z członków, któremu udzielił odpowiednich poleceń i instrukcji. Zebrani dowiedzieli się od tego kolegi, że mają wypowiedzieć się — każdy przy tym indywidualnie na piśmie — co do tego, czy zarządzenie o skreśleniu adwokatów pochodzenia żydowskiego uważa opiniujący za słuszne i uzasadnione oraz zgodne z interesami adwokatury polskiej. (...) Spośród 17 obecnych przeważająca większość, bo 14, wypowiedziała się negatywnie. Do tej większości należeli wszyscy adwokaci warszawscy.” Za karę skreślono ich z listy adwokatów.

W parę tygodni po tych wydarzeniach rozpoczęła się weryfikacja kilkuset adwokatów warszawskich. Osoby ubiegające się o uzyskanie upoważnienia do wykonywania zawodu były wzywane przed oblicze dra Gollerta, szefa Wydziału Sprawiedliwości Warszawskiego Dystryktu, w gmachu pałacu Brühla, dawniej siedzibie polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Przyjmował on osobiście każdego z kandydatów do adwokatury w eleganckim gabinecie w obecności tłumacza. Przed wejściem do gabinetu dra Gollerta byliśmy obowiązani wypełnić blankiet deklaracji i wręczyć go temu dygnitarzowi. Blankiety znajdowały się na stole w dużym hallu, w którym oczekiwaliśmy na swoją kolejkę. Najważniejsze z pytań zamieszczonych w deklaracji miały w przybliżeniu takie brzmienie: „Czy kandydat do zawodu adwokackiego należał do partii politycznej i jakiej? Czy przejawiał działalność w duchu antyniemieckim?”.

Zaskoczyły mnie i moich kolegów te nieoczekiwane pytania. Toteż zastanawiałem się poważnie, czy nie wycofać się z zabiegów o upoważnienie do wykonywania zawodu adwokata. Zdawałem sobie jednak sprawę z tego, że zwróciłoby to uwagę władz niemieckich na moją osobę. Akta moje wraz z załącznikami i arkuszem ewidencyjnym znajdowały się już w rękach dra Gollerta. Po dłuższym zastano-

wieniu doszedłem do przekonania, że w ówczesnych warunkach nie mogę tego uczynić. Wszelako nie mogłem ujawnić prawdy o mojej działalności w duchu antyhitlerowskim.

Do chwili mianowania mnie sędzią prowadziłem ożywioną działalność polityczną w ruchu ludowym. Pełniłem różne funkcje we władzach powiatowych i wojewódzkich na terenie Lubelszczyzny. Po nominacji na stanowisko sędziego okręgowego śledczego poświęciłem się pracy jedynie w Związku Młodzieży Wiejskiej Rzeczypospolitej Polskiej. W prasie ludowej ukazywały się moje korespondencje z zagranicy podczas odbywanych podróży naukowych w związku z przygotowaniem obrony pracy doktorskiej w Sorbonie.

W organach Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici” i „Młoda Myśl Ludowa” zamieszczałem stale artykuły o sytuacji międzynarodowej do ostatnich dni przed najazdem na nasz kraj. Piętnowałem w nich imperialistyczne dążenia Hitlera w stosunku do Austrii, Czechosłowacji i Polski. Z uwagi na moje szczególne zainteresowania problematyką Wolnego Miasta Gdańska, na prośbę marszałka Rataja udałem się tam w kwietniu 1935 r., aby obserwować z bliska przebieg sławetnych „wyborów” do *Volkstagu*, zorganizowanych przez agentów Hitlera z gauliterem Albertem Forsterem na czele, z udziałem najwyższych dygnitarzy III Rzeszy: Goeringa, Hessa, Goebbelsa i wielu innych. Chodziło hitlerowcom o uzyskanie bezwzględnej większości w celu dokonania zmiany obowiązującej konstytucji demokratycznej.

Dzięki moim przyjacielskim powiązaniom z Janem Wajznerem, długoletnim wybitnym działaczem Związku Polaków w Gdańsku, miałem ułatwione zadanie. Poznałem za jego pośrednictwem również innych polskich działaczy w Wolnym Mieście. Przekonałem się naocznie, w jakiej to atmosferze terroru i bezprawia odbywały się te „wybory” hitlerowskie. Oddziały *Landespolizei* w Oliwie jawnie śpiewały w czasie przemarszów antypolskie pieśni, w rodzaju: *Siegreich wollen wir Polen schlagen bis Polen geht kaputt*. A tymczasem minister Beck zachłystywał się wtedy polityką współpracy z Hitlerem.

Z moich obserwacji dotyczących stosunków w Wolnym Mieście złożyłem obszerne sprawozdanie nie tylko Maciejowi Ratajowi, ale na jego prośbę również wybitnemu przywódcy PPS Mieczysławowi Niedziałkowskiemu, z którym Rataj przyjaźnił się i współpracował. Obaj zostali rozstrzelani w Palmirach 21 czerwca 1940 r.

Na prośbę marszałka Rataja ponownie udałem się w 1938 roku do Wolnego Miasta Gdańska w czasie urlopu, aby obserwować nasilającą się tu antypolską działalność hitlerowców. Wreszcie w lecie 1939 r., już po wypowiedzeniu przez Hitlera deklaracji o nieagresji z 26 stycznia 1934 r., udałem się tam na urlop. Mogłem przyglądać się jawnym już przygotowaniom do napaści na Polskę. Informowałem o tym nie tylko Macieja Rataja, ale i szeroki ogół członków i działaczy ruchu ludowego. Skierowałem też z Gdańska sześć obszernych korespondencji pod wspólnym nagłówkiem „Listy z ziemi Gdańskiej i Pomorskiej”. Wszystkie zostały zamieszczone z moim podpisem w tygodniku „Wici”, naczelnym organie Związku Młodzieży Wiejskiej RP. Oświadczając w nich o groźnym niebezpieczeństwie, jakie zawisło nad Polską. Demaskowałem bez żenady terror i bezprawie hitlerowców w stosunku do polskiej ludności oraz zbrodnicze przygotowania do napadu na nasz kraj.

Ujawnienie przez gestapo mojej działalności antyhitlerowskiej mogło zaprowadzić mnie nawet do lasu w Palmirach, tak jak mego zacnego przyjaciela i gorącego patriotę Jana Wajznera. Po długich poszukiwaniach w Warszawie został w końcu ujęty i rozstrzelany tam w sierpniu 1940 r.

Po tej dłuższej dygresji powracam do odpowiedzi, jakiej udzieliłem na blankiecie deklaracji na pytania dotyczące przynależności do partii politycznej oraz w sprawie prowadzenia działalności w duchu antyniemieckim. Postanowiłem odpowiedzieć wymijająco na te niebezpieczne dla mnie pytania. Oświadczyłem, co następuje: „Do wybuchu wojny z Niemcami pełniłem w ciągu wielu lat funkcje sędziego w Warszawie. Jako sędziemu nie wolno mi było należeć do partii i prowadzić działalności politycznej”. Było to formalnie zgodne z prawdą. Pomiąłem jednak całkowitym milczeniem moją działalność antyhitlerowską, prowadzoną w ciągu kilku lat w ramach ruchu ludowego.

Przebywając dłuższy czas w hałlu w oczekiwaniu na moją kolejkę, zdążyłem porozumieć się z wieloma znanymi mi adwokatami co do konieczności solidarnego napiętnowania decyzji władz hitlerowskich w sprawie usunięcia z adwokatury osób żydowskiego pochodzenia. Decyzja ta była sprzeczna z zasadami prawa międzynarodowego i konwencją haską, regulującą uprawnienia władz okupacyjnych w toku wojny. Decyzja ta była wymierzona przeciwko państwu polskiemu, które hitlerowcy już uważali za nie istniejące.

Po wejściu do gabinetu dra Gollerta i przedstawieniu się, wręczyłem mu wypełniony blankiet deklaracji. Zerknął nań okiem i dołączył do moich akt personalnych. Następnie, zwracając się do mnie w niezwykle uprzejmym tonie, oznajmił w przybliżeniu, co następuje: „Władze Generalnej Gubernii postanowiły usunąć z adwokatury osoby pochodzenia żydowskiego. Jestem głęboko przekonany, że to zarządzenie zostanie powitane przez polskich adwokatów z zadowoleniem, aprobata i wdzięcznością. Jaka jest pańska opinia, Herr dr Jagusz?”.

Odpowiedziałem krótko i zdecydowanie w języku polskim: „Zarządzenie władz niemieckich jest niezgodne z przepisami prawa państwa polskiego. Toteż traktuję je jako bezprawie”. Ledwie zdążyłem wypowiedzieć te słowa, które obecny tłumacz przełożył szybko na język niemiecki, a już dr Gollert bez poprzedniej uprzejmości zwrócił się do mnie z zapytaniem, dlaczego przemawiam w języku polskim, skoro znam język niemiecki, jak to wynika z arkusza ewidencyjnego. Ponownie zabrałem głos, oświadczając po polsku. „Istotnie, znam dość dobrze język niemiecki, ale jestem Polakiem i dlatego posługuję się moim ojczystym językiem. Obecny tu tłumacz winien przełożyć tekst moich odpowiedzi na język niemiecki, skoro pan nie zna języka polskiego”.

Po tym incydencie dr Gollert, wyraźnie podenerwowany, zapytał mnie z kolei: „Dlaczego traktuje pan zarządzenie władz niemieckich w sprawie adwokatów żydowskiego pochodzenia jako bezprawne?”. Odpowiedziałem: „Władze niemieckie są władzami okupacyjnymi. Stosownie do przepisów prawa międzynarodowego i konwencji haskich nie są uprawnione do zmiany podstawowych praw państwa polskiego”. Na to dr Gollert: „Państwo polskie już przestało istnieć i dlatego władze niemieckie mogą wprowadzać wszelkie zarządzenia i przepisy prawa na terenach dawnej Polski”. Odparłem mocno poirytowany: „Wbrew pańskiemu głosłownemu twierdzeniu państwo polskie istnieje nadal, a jedynie jego terytoria znajdują się chwilowo pod okupacją. Prawowity rząd państwa polskiego przebywa na emigracji i prowadzi nadal wojnę przeciwko III Rzeszy wraz ze swymi sojusznikami: Francją i Wielką Brytanią.”

Po przełożeniu tej odpowiedzi przez tłumacza na język niemiecki dr Gollert, ledwie panując nad sobą, umieścił na posiadanej liście adwokatów obok mego nazwiska kreskę, co oznaczało, że zająłem negatywne stanowisko w sprawie adwokatów pochodzenia żydowskiego. Następnie wręczył mi *Ermächtigungsschein*,

upoważnienie do wykonywania zawodu adwokata. Podziękowałem chłodno i wyszedłem do hallu.

Oczekujący tam na swoją kolejkę liczni koledzy dopytywali się, dlaczego tak długo trwała moja rozmowa z Gollertem. Zaprzyjaźnionych i dobrze mi znanych adwokatów poinformowałem szczegółowo o jej przebiegu, prosząc jednocześnie, aby oni również udzielili butnemu hitlerowcowi odpowiedzi godnych Polaka bez względu na konsekwencje. Nadmieniam, że już przed przybyciem do pałacu Brühla przeprowadziłem z wieloma adwokatami rozmowy co do stanowiska w sprawie skreślenia z listy adwokatów osób pochodzenia żydowskiego.

Po powrocie z pałacu Brühla zająłem się sprawą podnajęcia odpowiedniego lokalu na kancelarię adwokacką. Dowiedziałem się od przyjaciół, że wdowa po zamordowanym we Lwowie (po kapitulacji) pułkowniku Armińskim, który ongiś pełnił funkcję szefa Wojskowego Sądu Garnizonowego w Warszawie, a później przeszedł do adwokatury, posiada pięciopokojowy lokal przy ulicy Wspólnej. Oddała mi do dyspozycji gabinet męża z prawem używania sąsiedniego pokoju na poczekalnię. Przeznaczyłem ten mój gabinet adwokacki również na miejsce zebrań konspiracyjnej komisji programowej ruchu ludowego, do której należałem, a także na zebrania „Trójki”, naczelnego organu ruchu ludowego.

Polacy w kraju oczekiwali od dawna na poważniejsze działania wojenne na zachodzie. Byli stuprocentowo pewni, że Hitler i jego armie połamią sobie zęby na potężnej linii Maginota. Pewny zwycięstwa Francuzów i Anglików był również premier rządu polskiego i naczelny wódz generał Władysław Sikorski. Oczekiwano rychłego wkroczenia jego zwycięskich wojsk do Polski. Często powtarzano dla pokrzepienia serc powiedzonko: „Im słońeczko wyżej, tym Sikorski bliżej”.

Wkrótce nastąpiły gorzkie rozczarowania. Załamał się front zachodni. Nowy rząd francuski pod przewodnictwem marszałka Pétaina haniebnie skapitulował. Rząd polski generała Sikorskiego przeniósł się do Londynu, postanawiając nadal walczyć wraz z Krajem o wolność z odwiecznym wrogiem narodu polskiego. Gorący patriota francuski generał de Gaulle uczynił to samo, ogłaszając w dniu 18 czerwca z Londynu przez radio apel do Francuzów o wytrwanie i wolę walki o wolność Francji. Pétainowski sąd skazał go za to na karę śmierci. Już na długo przed wybuchem wojny szerzył się we Francji niebezpieczny defetyzm, co mogłem obserwować podczas studiów w Paryżu. Zaszczepiony był przez ministra Brianda. Toteż wybitny mąż stanu Clemenceau nie bez racji nazwał go: *chef d'orchestre du défaitisme français*.

Spotykając w sądach kolegów adwokatów, którzy podobnie jak i ja napiętnowali bezprawne zarządzenia władz okupacyjnych, prowadziłem z nimi rozmowy na temat konsekwencji w związku z naszym stanowiskiem. Doszliśmy do przekonania po długim oczekiwaniu, że hitlerowcy zapomnieli już o naszym wystąpieniu w pałacu Brühla. Okazało się, że błędnie ocenialiśmy ich zamysły. Po rozgromieniu Francji stawali się coraz bardziej butni i bezwzględni wobec Polaków.

W dniu 11 lipca do późnych godzin nocnych pracowałem w moim gabinecie, przygotowując pozew w jakiejś poważniejszej sprawie cywilnej. Popołudniowe godziny spędziłem w gronie przyjaciół, członków komisji programowej ruchu ludowego. Dużo czasu poświęcaliśmy wówczas omówieniu sytuacji międzynarodowej po załamaniu się Francji. Całe nadzieje pokładaliśmy teraz w zdecydowanym stanowisku Wielkiej Brytanii i jej premiera Churchilla. Byliśmy niemal pewni, że Stany Zjednoczone nie pozostaną długo na uboczu i po nowych wyborach prezydenckich w listopadzie 1940 r. przystąpią do wojny przeciwko Niemcom, Włochom i Japonii.

Na skutek przemęczenia spałem tej nocy z 11 na 12 lipca doskonale. Toteż nie mogłem się zbudzić mimo ostrych dźwięków dzwonka u drzwi frontowych i gwałtownego dobijania się. Zbudził mnie ze snu dopiero głośny, przerażający ryk przy moim tapczanie: *Aufstehen! Hände hoch!* Przede mną stało dwóch drabów ubranych po cywilnemu z rewolwerami w dłoniach i jeden umundurowany gestapowiec. Pierwsze pytanie skierowane do mnie zmierzało do ujawnienia, gdzie ukryłem rewolwer. Oświadczyłem, że nie mam rewolweru. Przeszukali szybko szafkę nocną przy moim wezglowiu. Grzebali pod poduszką. Nic nie znaleźli. Wiedzieli jednak dobrze, że posiadałem rewolwer. Oznajmiłem, że istotnie do wybuchu wojny korzystałem z rewolweru za zezwoleniem władz. Po najeździe wojsk hitlerowskich na Polskę zostało wydane rozporządzenie zobowiązujące posiadaczy broni do jej zwrotu. W rzeczywistości ukryłem rewolwer u przyjaciół na prowincji.

Po pobieżnych oględzinach tapczanu i przeszukaniu kieszeni ubrań w szafie przystąpili gestapowcy do zbadania zawartości biurka. Mnie kazali stać nadal z podniesionymi rękami. Nagle zaiskrzyły się im ślepią, gdy zauważyli w szufladzie złoty, elegancki zegarek szwajcarski i sporą ilość banknotów. Były to pieniądze otrzymane od klientów na opłaty sądowe i z tytułu honorarium. Ta pokaźna zdobycz, którą ukryli w teczce, ulagodziła nieco oprawców. Toteż gdy zwróciłem się do nich z zapytaniem, czy mogę się ubierać, oznajmili, że wolno mi to uczynić. Oni tymczasem zaczęli grzebać w mojej bibliotece, zawierającej wiele interesujących dzieł w obcych językach oraz bogaty księgozbiór w języku polskim. Starłem się za wszelką cenę umieścić niepostrzeżenie w szafie odzieżowej moją marynarkę zawieszoną na poręczy krzesła obok tapczanu. W jej kieszeniach bowiem znajdowała się nie tylko niewielka kwota pieniędzy w portfelu, ale również notes z numerami telefonów przyjaciół politycznych. Ten notes najbardziej mnie niepokoił. Po umieszczeniu tej marynarki błyskawicznym ruchem w szafie chwyciłem inną, którą włożyłem na siebie.

Po pobieżnej rewizji zawartości biblioteki gestapowcy oznajmili p. Armińskiej, że klucz od drzwi mego gabinetu zabierają ze sobą, gdyż zamierzają ponownie poddać go gruntownym poszukiwaniom. Nic ze sobą nie zabrałem. Narzuciłem jedynie na siebie płaszcz. Pożegnałem p. Armińską, przeprasząc za przykrość związaną z moją osobą. Zapłakana i wystraszona, ledwie mogła wyrzec „do widzenia”.

Zauważyłem przed domem na ulicy eleganckie auto z umundurowanym gestapowcem przy kierownicy. Po zajęciu miejsca w aucie pośrodku cywilnych oprawców śledziłem z niepokojem, w jakim kierunku ono podąży. Po zbliżeniu się do skrzyżowania z ulicą Marszałkowską, udało się ono na północ. Odetchnąłem z ulgą. Nie jechaliśmy więc w Aleję Szucha, do siedziby gestapo.

Gdy przybyliśmy na ulicę Dzielną i ukazały się już przed nami ponure mury więzienia zwanego popularnie Pawiakiem, szef gestapowców zapytał złośliwie, czy poznaję ten budynek. Oświadczyłem, że owszem znany mi jest, i to dość dobrze. Na to gestapowiec dorzucił z ironią w głosie: „Ale bywał pan w nim w charakterze sędziego śledczego. Obecnie będzie pan tu przebywał jako więzień”. Odparłem z pogardą: „Nie jest to hańbiące dla mnie, ale dla tych, którzy dopuszczają się wobec mnie, jako Polaka, brutalnego bezprawia”.

Po przybyciu na teren więzienia doprowadzono mnie najpierw do kancelarii, gdzie szczegółowo pytano o moje personalia. Następnie pozwolono mi udać się na dziedziniec więzienny. Zauważyłem tam większą liczbę znanych mi dobrze adwokatów warszawskich, u których również przeprowadzono podobne rewizje. Jak ustaliłem w toku rozmowy z nimi, wszyscy podczas weryfikacji przeprowadzanej przez kierownika Wydziału Sprawiedliwości dra Gollerta w pałacu Brühla napiętnowali,

podobnie jak ja to uczyniłem, bezprawne zarządzenia władz okupacyjnych co do usunięcia z adwokatury osób pochodzenia żydowskiego.

Pragnę podkreślić tu z naciskiem, że adwokaci ci byli związani z różnymi ugrupowaniami politycznymi, od skrajnej prawicy do skrajnej lewicy. Kilkunastu było bezpartyjnych. Dla przykładu wymienię niektórych, dobrze mi znanych. I tak adwokat Jerzy Czarkowski, syn znanego lekarza warszawskiego, należał do ugrupowań nacjonalistycznych. Nie zaliczał się bynajmniej do filosemitów. Od dawna był zwolennikiem ograniczenia wpływów żydowskich w życiu gospodarczym Polski, w handlu i w wolnych zawodach, a zwłaszcza w adwokaturze, niezmiernie „zażydzonej”. Był też wśród aresztowanych adwokat Edward Grabowski, komunista, długoletni radca ambasady radzieckiej w Warszawie. Znalazł się w więzieniu także adwokat Henryk Świątkowski, wybitny działacz Polskiej Partii Socjalistycznej, adwokat zaś Tadeusz Rek był wraz ze mną związany od dawna z ruchem ludowym. Adwokat Józef Chaciński był wybitnym przywódcą Chrześcijańskiej Demokracji. Z kolei adwokat Stefan Perzyński związał się na dobre, poczynając od zamachu majowego, z reżymem sanacyjnym. Pełnił ongiś funkcje prezesa Zarządu Wojewódzkiego BBWR na województwo warszawskie. Był też senatorem. Toczyłem z nim boje jako sędzia śledczy w sprawie sanacyjnych fałszerzy wyborów samorządowych, których on uporczywie bronił. Znalazł się też w więzieniu adwokat Ignacy Radlicki, były legionista, przyjaciel Perzyńskiego. Dobrze go znałem jako obrońcę promienników sanacyjnych w toku prowadzonego przeze mnie śledztwa w sprawie nadużyć w gimnazjum i magistracie miasta Żyrardowa. Był poza tym w więzieniu adwokat Aleksander Jarzęcki, były notariusz, bezpartyjny. Pochodził z mego powiatu, garwolińskiego. W czasie pierwszej wojny światowej należał wraz ze mną do podziemnej Polskiej Organizacji Wojskowej. Wśród aresztowanych znalazł się adw. Edmund Wojciechowski, syn byłego prezydenta Rzeczypospolitej, obalonego przez Piłsudskiego w 1926 r.

Zarówno wymienieni adwokaci, których dobrze znałem, jak i wszyscy inni, którzy znaleźli się wówczas w liczbie kilkudziesięciu na dziedzińcu więziennym, napiętnowali bezprawne zarządzenia władz hitlerowskich wobec Żydów, polskich obywateli. Wszyscy oni, bez względu na poglądy i przekonania, stanęli solidarnie w obronie prześladowanych kolegów, a przede wszystkim w obronie godności państwa polskiego, które okupant hitlerowski traktował już jako nie istniejące.

Po półgodzinnym pobycie na dziedzińcu, poprowadzili nas strażnicy do cel więziennych. Mnie wtłoczyli wraz z dziesięciu innymi adwokatami do celi mogącej pomieścić nie więcej niż kilka osób. Niesłychaną ciasnotą uzupełniał kompletny brak powietrza. Nie mieliśmy czym oddychać, gdyż okienko celi było hermetycznie zamknięte. Było niesamowicie gorąco. Aresztowany wówczas mój przyjaciel adwokat Mieczysław Grabiński został osadzony w podziemnej norze-ciemnicy tylko dlatego, że ośmielił się zażądać od gestapowców okazania mu sądowego nakazu aresztowania. Zapomniał biedak, że ma do czynienia nie ze sługami prawa, ale z najokrutniejszymi oprawcami, wielbicielami hitlerowskiego bezprawia i terroru.

Po upływie tygodnia władze więzienne przeniosły nas do dużej sali szkoły straży więziennej. Dołączył wreszcie do nas sympatyczny kolega Grabiński.

Po porannym umyciu się i gimnastyce ustawialiśmy się, by zaśpiewać pieśń „Kiedy ranne wstają zorze”, a przed udaniem się na spoczynek „Wszystkie nasze dzienne sprawy”. Podczas przebywania w więzieniu prowadziliśmy namiętne dyskusje na różne tematy. Najczęściej omawialiśmy dotychczasowy przebieg wojny i sromotną klęskę Francji. Bardzo niepokoił nas, czy Wielka Brytania nie da posłuchu chytrym zabiegom Hitlera, który 19 lipca wysunął propozycję zakończe-

nia działań wojennych. Były i inne tematy pogawędek. Zaczynał profesor Orzęcki wygłaszać niezwykle interesujące referaty na temat zasad moralności chrześcijańskiej w życiu ludzi i narodów.

Niemal codziennym tematem rozmów była sprawa przetrzymywania nas w więzieniu. Jedni twierdzili, że jesteśmy tylko chwilowymi zakładnikami, inni byli zdania, że za nasze wrogie wystąpienie podczas weryfikacji władze niemieckie postrzymają nas kilka tygodni w więzieniu i zwolnią, pozbawiając jedynie prawa wykonywania zawodu adwokackiego, jak to uczynili w stosunku do 14 adwokatów, członków tak zwanego *Beiratu*.

Po upływie blisko dwóch tygodni od chwili aresztowania został zwolniony jako pierwszy adw. Edward Grabowski. Szeroko było komentowane to nieoczekiwane zwolnienie. W późniejszych latach, po zwolnieniu z obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, dowiedziałem się w toku rozmowy z nim o skutecznej interwencji jego żony Natalii Gąsiorowskiej w ambasadzie radzieckiej w Berlinie.

W dniu 13 sierpnia 1940 r. wyprowadzili nas dozorczy w godzinach popołudniowych na dziedziniec. Sprowadzono również z cel kilkuset innych więźniów politycznych. Za chwilę zjawili się umundurowani gestapowcy. Odczytali nazwiska 513 więźniów, polecając im zająć miejsca na skraju dziedzińca. Olbrzymia większość aresztowanych kolegów adwokatów znalazła się wraz ze mną wśród wyczytanych osób.

Po powrocie do celi prowadziliśmy ożywione rozmowy, snując przypuszczenia w związku z selekcją więźniów. Jedni byli zdania, że prawdopodobnie będziemy skierowani karnie do obozów pracy przymusowej za zajęcie wrogiego stanowiska wobec władz niemieckich. Inni twierdzili, że wobec przeludnienia Pawiaka zostaniemy przewiezieni do innego więzienia. Zabrałem i ja głos, przy czym nie wyłączałem możliwości deportacji nas do obozu koncentracyjnego.

14 sierpnia 1940 r. wczesnym rankiem straż więzienna poleciła nam, więźniom wyczytanym przez gestapowców, abyśmy szybko się ubierali i wychodzili na dziedziniec, zabierając swoje rzeczy. Niektórzy koledzy mieli duże pakunki, a nawet walizki, w których dostarczono im bieliznę, produkty żywnościowe oraz inne przedmioty osobistego użytku. Świeżo upieczony adwokat Stanisław Massalski, do wybuchu wojny dyplomata polski w Stanach Zjednoczonych, obarczony był olbrzymią elegancką walizką, obficie wypełnioną. Bardzo utrudniała mu poruszanie się.

Dołączono do naszej grupy adwokackiej setki innych więźniów politycznych, których nazwiska wyczytali gestapowcy w dniu poprzednim. Życzliwe przedstawicielki „Patronatu” wręczyły nam na drogę skromne paczki żywnościowe.

Nagle strażnicy otworzyli bramę wjazdową więzienia, przez którą wtoczyło się na dziedziniec kilkanaście ciężarówek krytych brezentem. Ustawiono je rzędami. Uzbrojeni po zęby gestapowcy wyjechali na motocyklach. Padły rozkazy wsiadania, i to szybko. Towarzyszyło im bicie i kopanie tych więźniów, którzy nie byli w stanie tego uczynić z powodu starczego wieku lub posiadania pakunków bądź walizek. Najwięcej razów otrzymał sympatyczny kolega Massalski, obarczony olbrzymią walizką.

Po załadowaniu ciężarówek wyruszyły one na ulicę. Z przodu i po bokach podążali na motocyklach uzbrojeni gestapowcy. Cały konwój przemykał szybko w stronę dworca towarowego, gdzie oczekiwał długi pociąg, złożony z kilkudziesięciu bydłocych wagonów. Do naszej grupy pawiackiej dołączono 1200 osób pochodzących z łapanek, przeprowadzonych przez żandarmów na ulicach Warszawy w dniu 12 sierpnia. Był to pierwszy transport warszawski do Oświęcimia.

Spośród blisko 70 adwokatów aresztowanych przez gestapo o świcie 12 lipca w ich mieszkaniach wyznaczeni zostali do transportu następujący: Wacław Berezniński, Jerzy Bielawski, Edward Botner, Ignacy Chabiński, Józef Chaciński, Bolesław Chróścielewski, Jerzy Czarkowski, Janusz Głowczewski, Mieczysław Grabiński, Stanisław Gruszczyński, Wincenty Herdin, Stanisław Jagusz, Aleksander Jarzęcki, Zbigniew Kasperowicz, Kazimierz Kędziński, Stanisław Kędziński, Wacław Kisielewski, Tadeusz Kizler, Kazimierz Kluźniak, Apolinary Kostro, Zbigniew Krasuski, Stanisław Krzywoszewski, Tadeusz Lewandowski, Wacław Lipka-Dukańk, Lucjan Lopuszyński, Józef Łukasiewicz, Jan Lachowicz, Stanisław Massalski, Julian Mikulski, Tadeusz Myśliński, Mściśław Modzelewski, Jan Niewiarowski, Zygmunt Oberbek, Michał Orzęcki, Jan Perzanowski, Stefan Perzyński, Jan Powidzki, Ignacy Radlicki, Tadeusz Rek, Ludwik Rogowski, Tadeusz Sembrzycki, Władysław Siedlanowski, Jan Sobociński, Zygmunt Surewicz, Henryk Świątkowski, Jerzy Węglewski, Edmund Wojciechowski.

Załadowano po kilkudziesięciu więźniów do każdego wagonu. Niesamowity był tłok. Wagony były zaplombowane, a małe okienka u góry zabite deskami, aby nikt nie mógł wydostać się w czasie podróży. Tylko przez szpary w drzwiach mogliśmy oglądać z trudem nazwy mijanych dworców kolejowych. Pod wieczór zauważyliśmy w oddali wież Sanktuarium Najświętszej Panny Marii w Częstochowie. Z iniejaływy adwokata Rogowskiego, prezesa Warszawskiego Towarzystwa Teozoficznego, i doktora Konrada Okólskiego, ordynatora szpitala Dzieciątka Jezus w Warszawie, odmówiliśmy zbiorowo „Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko”. Z przejściem i oddaniem w Jej opiekę wymawiane było każde słowo tej modlitwy.

Nadał nie wiedzieliśmy, dokąd podąży nasz transport. Jedni mniemali, że może do Dachau, inni przypuszczali, co było bardziej prawdopodobne, że udajemy się do nowego obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, dokąd w połowie czerwca skierowano pierwszy transport więźniów politycznych z Tarnowa. To ostatnie przewidywanie okazało się prawdziwe.

15 sierpnia 1940 r. o świtaniu zauważyliśmy podczas dłuższego postoju na dworcu w Oświęcimiu napis w języku niemieckim *Auschwitz*. Nie przewidywaliśmy wówczas, że słowo *Auschwitz* oznaczać będzie wkrótce dla całego świata największy obóz zagłady, jaki zbudowali hitlerowscy zbrodniarze. Według wyjaśnień przed sądem komendanta obozu Hössa, zamordowano tam z górą 4 miliony osób, wśród nich najwięcej Polaków i Żydów.

Po opuszczeniu dworca pociąg podążył w stronę obozu. Przytelepał się powoli do wysokiej rampy umieszczonej obok torów. Zanim jeszcze rozwarły się drzwi wagonów, dały się już słyszeć z zewnątrz niesamowite wrzaski i pokrzykiwania. Za chwilę ujrzelśmy na własne oczy olbrzymią zgraję rozbawionych umundurowanych esesmanów z gdańskiej Heimwehry, z grubymi pałkami w rękę. Obok nich uładowy jak wściekłe psy wilczury. Bez przerwy rozlegały się ryki naszych oprawców: *Aussteigen! Schnell, schnell polnische Banditen!* lub *polnische Schweinehunde!* Kto nie zdołał wygramolić się szybko z zatłoczonego wagonu, otrzymywał dotkliwie razy, najpierw na rampie, a dodatkowo po zeskoczeniu z niej na ziemię. Myślę, że najwięcej tych ciosów i kopniaków dostało się ponownie naszemu koledze Massalskiemu, z trudem poruszającemu się z dużą walizą. Ja, nie mając na szczęście żadnego pakunku, zdołałem wydostać się szybciej z wagonu. Otrzymałem zaledwie parę uderzeń przy skakaniu z rampy na ziemię w celu dołączenia do szybko formujących się szeregów, w niedalekiej odległości od bramy głównej. Wchodziliśmy przez nią na tereny właściwego obozu zagłady.

Prochy olbrzymiej większości zesłanych wówczas adwokatów pozostały na zawsze w tym obozie.

Na półkolistej tarczy metalowej nad bramą wyryta była powitalna dewiza: *Arbeit macht Frei*. Szydercze to były słowa. Katorżnicza praca nie czyniła człowieka wolnym. Wprost przeciwnie, po przekroczeniu piekielnej bramy stawał się on niewolnikiem okrutnych zbrodniarzy, którzy — z właściwym sobie sadyzmem germańskim znęcali się bez przerwy, fizycznie i moralnie, nad bezbronnymi — w celu poniżenia ich godności ludzkiej i przyspieszenia zgonu.

NOTATKI

1.

Założenia poselskiego projektu ustawy — Prawo o adwokaturze*

Projekt ustawy pod nazwą „Prawo o adwokaturze” jest wynikiem długoletnich dążeń adwokatury do rozszerzenia i pogłębienia jej samorządu zawodowego. Wystarczy powiedzieć, że potrzeba nowelizacji przepisów o adwokaturze — właśnie w kierunku rozszerzenia samorządności — została zaakceptowana i przyjęta w rządowym programie porządkowania prawa, z ustaleniem terminu realizacji na 1975 r. Niestety, data ta minęła bez jakichkolwiek zmian ustawodawczych, gdy tymczasem życie szło naprzód, a w adwokaturze zachodziły procesy narzucające potrzebę nowego normatywnie określenia miejsca i roli w ochronie porządku prawnego, a także w tworzeniu prawa.

Te wewnętrzne przemiany w adwokaturze pozostają w pełnej zbieżności z ogólnospołecznymi procesami. Demokratyzacja naszego życia społecznego wysurwa na plan pierwszy samorządność jako przejaw uczestnictwa obywateli w rozwiązywaniu społecznych problemów.

Adwokatura w powojennym okresie przechodziła różne koleje losu, różny był stosunek państwa do jej roli i pozycji, różny także do samorządu. Jest rzeczą charakterystyczną, że każde ograniczanie demokracji odbijało się na stosunku do adwokatury, następowało formalne zawężanie działalności samorządu i faktyczne ograniczanie funkcji adwokata.

Z tej historii powojennej adwokatury, zrośniętej na trwałe z całym społeczeństwem, z jego socjalistycznymi przeobrażeniami, płynie wniosek o potrzebie zapewnienia rzeczywistego udziału adwokatury w tworzeniu i przestrzeganiu prawa. Wyrazić się to powinno zarówno w szerszym ujęciu społecznej roli adwokatury (a więc nie tylko wąskoprofesjonalnie) jak i w wyposażeniu jej w samorząd wybierany demokratycznie o szerokich prerogatywach oraz w zrezygnowaniu z nadmiernie drobiazgowego nadzoru państwowego.

O takie miejsce i kształt adwokatury dopominał się Ogólnopolski Zjazd Adwokatów, który odbył się w dniach 3 i 4 stycznia 1981 r. w Poznaniu. Taki stosunek do tych postulatów deklarowały założenia na IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR, a uchwała tego Zjazdu, podkreślając konieczność umacniania socjalistycznej pra-

* Jest to tekst przemówienia wygłoszonego przez posła adw. Zdzisława Czeszejkę-Sochackiego na posiedzeniu Komisji Spraw Wewnętrznych i Wymiaru Sprawiedliwości oraz Prac Ustawodawczych w dniu 29 lipca 1981 r.